

POWIEŚĆ KRYMINALNA AUTORKI BESTSELLERU

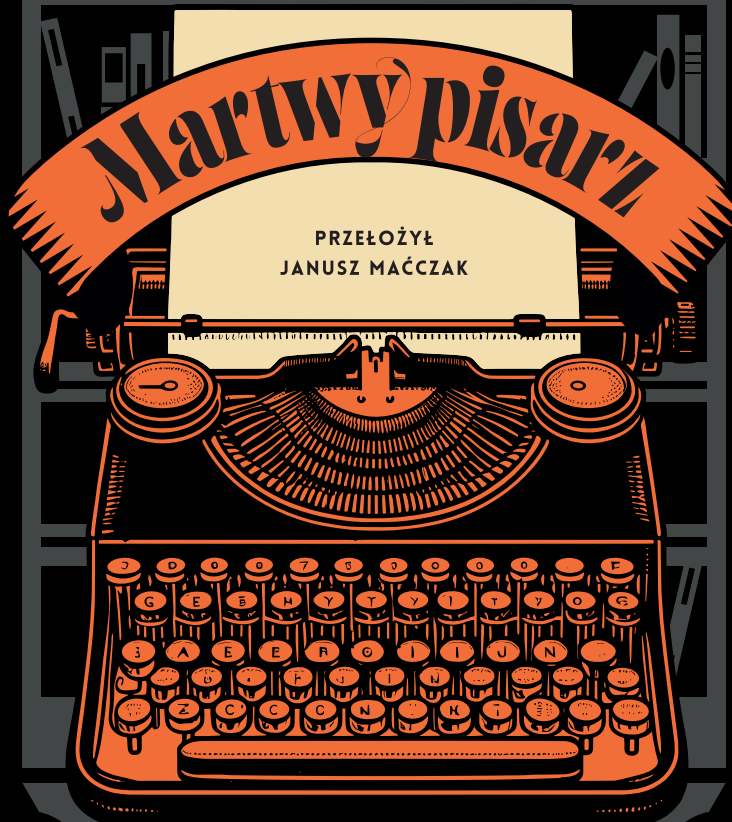
Kobieta z biblioteki

Sulari

Gentill

Martwy pisarz

PRZEŁOŻYŁ
JANUSZ MAĆCZAK



Sulari

Gentill



TYTUŁ ORYGINAŁU:

The Mystery Writer

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik

Wydawczyni: Agata Ługowska

Redakcja: Ewa Kosiba

Korekta: Beata Wójcik, Paulina Kawka

Projekt okładki: Urszula Gireń

DTP: PageGraph.pl

The Mystery Writer by Sulari Gentill.

Copyright © 2024 by Sulari Gentill. By arrangement with the author. All rights reserved.

First published by Sourcebooks.

Translation Rights Arranged by the Sandra Dijkstra Literary Agency.

Copyright © 2025 for the Polish edition by Mova an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Janusz Maćczak, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.

Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2025

ISBN 978-83-8371-665-7

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



Prolog

W dniu swojej śmierci obudził się wcześniej, przez pewien czas leżał nieruchomo, przygnieciony ciężarem frustracji, inercją rozpacz.

Przytłaczał go żal. Świadomość, że stracił wszystko. Ponad coś, co powinno być niczym.

Usiadł prosto. Regał z książkami widział niewyraźnie, nawet gdy spróbował się opanować. Powoli, sztywno podniósł się z kanapy, na której spędził noc, i zdjął tom ze środkowej półki. Jego pierwsza powieść, która kiedyś była dla niego wszystkim – ostatecznym spełnieniem marzeń, biletem wstępu do tego wszystkiego. Dopóki ta kobieta jej nie zniszczyła.

Przesunął czubkami palców po błyszczącej obwolucie – litery jego nazwiska były lekko wypukłe. Już nigdy więcej ich nie zobaczy, nie poczuje. „Ruszał w drogę, Jack, i już nie wracaj...” Melodia tej piosenki zabrzmiała w jego ustach szorstko, autoironicznie, gorzko. „Nigdy więcej... nigdy więcej... nigdy więcej”.

Ubranie leżało przed nim – garnitur, koszula, buty, nawet bokserki. Wszystko zostało rozważone, każdy rezultat przewidziany, każda decyzja już podjęta.

Nie pozostało nic oprócz śmierci.

Rozdział 1

Caleb zaklął zarówno z oburzenia, jak i z poczucia triumfu. Wiedział to! Dostrzegł coś w oczach tego kongresmena, kiedy ten przemawiał na wiecu – pustkę. Jakby w gruncie rzeczy go tam nie było. Jakby był martwy. To miało sens. Caleba ta świadomość uderzyła wręcz fizycznie. Ujrzał to. To był dowód. Ważny dowód.

Wpatrzył się w ekran, czytając ponownie, jego puls przyspieszał przy każdym kolejnym słowie. Walnął pięścią w stół.

– Tak!

Tarcza rosła, stawiała się mocniejsza. Coraz więcej ludzi budziło się, odzyskiwało świadomość. Ale Caleb był tam od początku – odkąd Prymus zamieścił jego pierwsze wołanie o pomoc. Caleb to zauważył, instynktownie wiedział, że coś w tym jest. Na Boga, kimkolwiek był Prymus, miał jaja, był patriotą.

Caleb wstał od komputera. Jego mama powinna to zobaczyć.

Potem się zawahał.

Czy naprawdę potrzebuje teraz tej kłótni? Mama spoglądała w niewłaściwych kierunkach – na południe w stronę granicy meksykańskiej i na północ ku Kanadyjczykom.

Przygotowując się do inwazji, prawdopodobnie robiła wszystko, co należy zrobić przed powstaniem. Podobnie jego bracia – no, przynajmniej większość z nich – każdy z własnym wyobrażeniem tego, jak nadejdzie koniec, i gotowy do walki. Kiedy będzie trzeba, staną się częścią Tarczy, nawet jeśli się tego nie spodziewają.

Caleb opadł z powrotem na łóżko i założył ręce za głowę. Jeśli się dowiedzą, przejmą kontrolę. Zacznie się: Caleb, zrób to, Caleb, zrób tamto... jakby to nie on wiedział od początku. Zapomną o tym.

Być może lepiej zaczekać. W ten sposób kiedy to się zacznie, on będzie tym, który kieruje, a oni będą musieli go wysłuchać. Wyobraził sobie zaskoczenie mamy, a potem jej podziw, gdy jej najmłodszy syn poprowadzi ich wszystkich do bitwy. Jego bracia uświadomią sobie, że dorósł. No, przypuszczalnie z wyjątkiem jednego, ale nawet on będzie musiał w końcu zmienić zdanie, zwrócić się z prośbą o pomoc do swojego małego braciszka.

Tak więc chwilowo będzie trzymał buzię na kłódkę. Zaczeka i zorientuje się, co potrafi.

Caleb chuchnął w pięść, oczy mu błyszczały. To będzie imponujące.

Theodosia Benton zatrzymała się na progu domu swojego starszego brata Gusa, napawając się ulgą z powodu końca długiej podróży. Ale westchnienie ulgi uwięzło jej w gardle, gdy na ganku pojawił się nagle jakiś hałaśliwy diabelski pies. Theo w zasadzie nie bała się psów, jednak nie była pewna, czy jest tu mile widziana. Czuła się zmęczona i wciąż trochę przytłoczona wagą tego, co zrobiła, więc stropiła się nieco, wpadła w panikę i ze łzami zaczęła walić w drzwi, podczas gdy pies

ujadał tak głośno, że zbudziłby umarłych. Kilkoro sąsiadów wytknęło głowy na zewnątrz, by sprawdzić, co się dzieje, przekonani, że kogoś tu mordują.

Gusa Bentona to rozbawiło. Po kilku chwilach szukania ubrania otworzył drzwi i wpatrzył się w nią zdumiony.

– Theo? Co, u diabła...

Theo daremnie usiłowała przekrzyczeć psa, który nieugięcie starał się zawiadomić całą przecznicę, że ktoś stanął w progu. Przycisnęła dłonie do uszu, kuląc się przed tym harmidrem.

Gus ruszył uspokoić czworonoga i w końcu udało mu się przekonać go, żeby przestał szczeleć. Względna cisza, która zapanowała, stworzyła okazję do wyjaśnień. Theo zapomniała jednak wszystkich słów, jakie przygotowała sobie podczas lotów samolotami i podróży autobusami, które przywiodły ją z Sydney do Lawrence w Słonecznikowym Stanie Kansas. Wyjąkała przeprosiny, że nie uprzedziła brata o swoim przybyciu.

– Wejdz – rzekł Gus.

Chwycił jej torby i skinał na nią, żeby podążyła za nim do wnętrza domu, gdzie przedstawił ją Pam, młodej damie ubranej w jego koszulę i niewiele więcej. Pam nie została z nimi długo. Widok przygnębionej dziewczyny z bagażami, nawet jeśli była tylko siostrą Gusa, przypuszczalnie wydał jej się niezbyt romantyczny.

Gdy zostali sami, Gus spytał ponownie:

– Co cię tu sprowadziło, Theo? Czy mama i tata wiedzą? Co się dzieje, do diabła?

Więc powiedziała mu, co zrobiła.

– Co to znaczy, że porzuciłaś uniwersytet? – zapytał. – Przecież zostało ci jeszcze tylko parę lat do ukończenia studiów. Z pewnością nie może tam być aż tak źle.

– Jest.

– Ale zawsze chciałaś zostać adwokatką.

Theo uśmiechnęła się słabo.

– Radczynią prawną – skorygowała. Pomyślała, że brat już przesiąkł amerykańskim językiem. – Gus, miałam osiemnaście lat, kiedy zapisałam się na prawo. Nie jestem pewna, czy w ogóle wiedziałam, czym jest bycie prawniczką. Po prostu chciałam się stać kimś takim jak ty, robić to, co ty, żebyś był...

Urwała i potrząsnęła głową.

Gus wypuścił powietrze z płuc.

– Dobra, rozumiem. Ale w Australii jest mnóstwo ludzi niebędących prawnikami. Dlaczego zjawiłaś się tutaj?

– Ja... pomyślałam...

Powiedziała mu o kursie kreatywnego pisanie, który ukończyła, o powieści, którą chce napisać. Słowa wyznania z trudem wyrzywały się z jej ust: coraz większy brak zainteresowania studiowaniem prawa, stale narastające poczucie paniki, samotności i tego, że po prostu nie zdoła stawić czoła następnemu dniowi, kolejnemu wykładowi, aż wreszcie mogła już tylko uciec. Potem Theo zmusiła się, by umilknąć, gdyż wiedziała, że te gorączkowe wyjaśnienia, błagalne usprawiedliwienia brzmią, jakby była całkiem szalona, a potrzebowała, aby brat uwierzył, że przynajmniej jest przy zdrowych zmysłach. Przygryzła usta, chcąc powstrzymać się przed wypełnianiem ciszy słowami.

Przez chwilę Gus się nie odzywał, tylko spoglądał na nią, jakby usiłował ustalić, czy to naprawdę ona. A potem jęknął.

– Jasna cholera, Theo. Mogłaś po prostu powiedzieć to wszystko przez telefon, a ja przyjechałbym po ciebie do Fort Worth.

– Kazałbyś mi zostać... zrobić dyplom.

– Jestem twoim starszym bratem. Muszę to mówić... Ale mimo to spotkałbym się z tobą na lotnisku, chociaż mnie zignorowałaś.

Powiedział jej, że może sobie wybrać którąś z dwóch nieużywanych sypialni, chociaż radził tę najdalszą od łazienki, gdyż rury w nocy często hałasują.

W pierwszej chwili Theo nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

– Odeszłam stamtąd – rzekła powoli. – Powiedziałam dziekanowi, że nie wrócę. Nie zostanę prawniczką, Gus. Mam nieukończone studia, co nie daje mi żadnych uprawnień... ale nie mogę...

– Już to mówiłaś. – Ziewnął. – Zjesz coś? Ja konam z głodu...

– Ale fundusz powierniczy...

Wzruszył ramionami. Edukacja uniwersytecka Gusa i Theo Bentonów była finansowana ze skomplikowanego funduszu powierniczego ustanowionego przez ich zmarłego dziadka, który za życia był znamiennym członkiem Amerykańskiej Rady Adwokackiej. Kiedy jego jedyna córka uciekła z pozostającym bez grosza australijskim muzykiem, Robert Maclean usunął ją ze swojego życia i odciął od swojej fortuny. Miał jednak nadzieję, że dzięki funduszowi powierniczemu odzyska wnuki i zwabi je z powrotem do swojego świata.

– Jeśli chcesz, pomówię z zarządcami funduszu – zaproponował nieporuszony Gus. – Załatwię wstrzymanie egzekucji do końca roku.

– Ale ja nigdy nie wrócę na studia! Dziadek już nie żyje... nie obejdzie go to!

Gus się uśmiechnął.

– Jeśli cokolwiek mogłoby sprowadzić tego starego drania z powrotem... – Dziadek wybrał dla nich przyszłość i nawet

zza grobu potrafił sterować ich życiem poprzez warunki swojego funduszu. Gus podążył drogą najmniejszego oporu, jednak najwyraźniej brakło mu odwagi młodszej siostry. Niemniej został prawnikiem, więc usiłował uchronić Theo przed odpowiedzialnością finansową. – A co ty na to, żebyśmy wstrzymali się z powiadomieniem zarządców funduszu, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne? Niczego nie zyskamy, informując ich z góry. Powiem im po prostu, że wzięłaś urlop dziekański do końca roku, żeby pomóc mi przy pewnej sprawie i zdobyć bezcenne profesjonalne doświadczenie.

– Nie uwierzą w to!

– Sprawianie, by ludzie w coś uwierzyli, to mój zawód – odparł Gus, spoglądając na swoją komórkę. – Moglibyśmy zamówić jedzenie. Na co masz ochotę?

Wbrew sobie Theo się uśmiechnęła.

– Będziesz miała czas do Gwiazdki na napisanie swojej powieści – mówił dalej. – Potem przynajmniej będziesz mogła oznajmić im, że nie rzuciłaś studiów prawniczych, żeby zostać wałkoniem... chociaż mogłoby to być całkiem satysfakcjonujące. – Wyjął portfel i wręczył jej kartę kredytową na swoje konto, na wypadek gdyby potrzebowała pieniędzy. – Hasło to „vegemite”.

Theo wzięła kartę nazbyt owładnięta wdzięcznością i ulgą, by móc mu podziękować. Otarła oczy rękawem, lecz jej determinacja, żeby zachować opanowanie, się załamała. Pies, który, jak się okazało, wabił się Koń, polizał ją po twarzy.

Gus podał jej pudełko chusteczek higienicznych, a następnie zamówił przez telefon pizzę.

– Dlaczego... jesteś dla mnie... taki miły? – wyjąkała wreszcie trochę mało elokwentnie jak na kogoś zamierzającego tworzyć literaturę.

Różnica wieku między nią a Gusem wynosiła ponad sześć lat i od przeszło dekady nie mieszkali w tym samym domu ani nawet w tym samym kraju. Wyjechał, kiedy była dziesięciolatką. Dorastała w jego cieniu i na równi podziwiała go i żywiła do niego urazę, tęskniła za nim, nienawidziła go i kochała... Nie była jednak pewna, czy zna brata tak, jak zazwyczaj zna się członka rodziny.

– Nie robisz tego tylko po to, żeby poprawić mi humor, co, Gus? Bo chcesz, żebym przestała lamentować? Daję słowo, że nie przeżywam załamania psychicznego, chociaż wiem, że na to wygląda...

Gus się roześmiał.

– Jasne, po prostu zyskuję na czasie, dopóki nie przyjedzie tu lekarz, żeby podać ci środek uspokajający... – Odczekał, aż podniosła na niego wzrok. – Posłuchaj, Theo, nie musisz być przez cały czas taka doskonale opanowana. Masz prawo reagować na to, co się stało.

– Nie jestem...

– Wiem. Ale masz do tego prawo, i to nie będzie nic wielkiego. W porządku?

Theo kiwnęła głową. Zwróciła się o pomoc do Gusa pod wpływem odruchu, tak jak robiła, kiedy była dzieckiem. A teraz przypomniawszy sobie, że ten odruch nigdy nie okazał się błędem.

– Przepraszam – wyszeptała. – To tylko dlatego, że mieliśmy zostać prawnikami... Nie sądziłam, że zrozumiesz, dlaczego nagle pomyślałam, że mogę być powieściopisarką.

Wzruszył ramionami.

– Ja chciałem być zawodowym surferem.

I w ten sposób sytuacja została wyjaśniona. Theo zgodnie z radą brata wybrała pokój usytuowany najdalej od łazienki.

Ten stary dom kupiony przez Gusa – znajdujący się w odległości paru ulic od kancelarii adwokackiej, która niegdyś nosiła nazwę Crane, Hayes i Purcell, a teraz nazywała się Crane, Hayes i Benton – rozpaczliwie potrzebował remontu. Zapewne nigdy nie uchodził za wspaniałą rezydencję, ale w obecnym podupadłym stanie był najgorszym budynkiem na najlepszej ulicy... albo przynajmniej na najlepszej ulicy, przy której Gusa stać było na zamieszkanie. Jego zasoby finansowe zostały najwyraźniej tak drastycznie uszczuplone przez koszt wykupienia praktyki adwokackiej Gerarda Purcella, że wyglądało na to, iż tylko instalacja wodno-kanalizacyjna i elektryczna domu nie wymaga natychmiastowej naprawy. Mimo to Gus kategorycznie odmówił przyjęcia jakichkolwiek pieniędzy od siostry.

– Przyjechałaś tu, aby napisać powieść, a nie pracować w barze kanapkowym, żeby móc opłacić czynsz – rzekł stanowczo. – Dopóki dasz absolutnie jasno do zrozumienia każdej kobiecie, która tu wpadnie, że jesteś moją siostrą, będziemy kwita.

Porozmawiali o tym, co powiedzieć rodzicom, i uznali, że dopóki decyzja Theo nie będzie nieodwracalna, najlepiej nic im nie mówić. Chociaż Paul i Beth Bentonowie gardzili takimi rzeczami jak konwenanse, bezpieczna posada i bogactwo, odczuwali niejaka ulgę, że ich życiowe wybory nie wywarły wpływu na ich potomstwo i że mogli odrzucić system kapitalistyczny bez szkody dla swoich dzieci. Mimo to Theo obawiała się, że powiadomienie ich doprowadzi do tego, że zechcą, aby wróciła do domu w celu odbycia medytacji i ponownego nawiązania więzi z tym czy owym, być może wzięcia tamburynu i dołączenia do występów muzycznych jej ojca.

Państwo Bentonowie już jakiś czas temu wyemigrowali na Tasmanię i przyłączyli się do starań ocalenia lasów tej wyspy

przed zakusami deweloperów. W trakcie tych wysiłków byli kilkakrotnie aresztowani i w rezultacie ich rejestr karny uniemożliwiał im wjazd do Stanów Zjednoczonych, a niechęć do współczesnej technologii sprawiała, że kontakty z synem były sporadyczne i utrudnione, ograniczały się do pospiesznych i fragmentarycznych wymian zdań podczas kiepskich połączeń telefonicznych. Dlatego uniknięcie jakiejkolwiek dyskusji dotyczącej tego, że obecność Theo w Lawrence nie jest tylko przypadkową krótką wizytą, było łatwiejsze, niż mogłoby się wydawać, a jej ucieczka z uniwersytetu nie wywołała niemal żadnych konsekwencji.

W ciągu kilku następnych dni Theo wysprzątała dom, usunęła nagromadzone przez lata pokłady brudu, walcząc z pleśnią, i naprawiała, co zdołała, a przy tym mówiła sobie, że w ten sposób zarabia na utrzymanie. Szlifowała ściany papierem ściernym i odmalowywała je, prała i gotowała, dopóki Gus dość bezceremonialnie nie wyrzucił jej z domu.

– Wynocha.

– Co takiego?

Dokończył wiązać krawat.

– Chcę, żebyś znalazła sobie jakieś inne miejsce, w którym mogłabyś pisać.

Theo wpatrzyła się w niego zszokowana.

– Ale przecież powiedziałeś, że mogę...

– Potrzebujesz jakiegoś miejsca, do którego będziesz mogła udawać się rano, Theo. Doceniam tę maniaką fazę sprzątania i naprawiania wszystkiego, ale musisz sobie znaleźć miejsce do pisania, w którym nie będzie cię rozpraszał widok tej rozkładającej się pleśni.

– Och. – Gwałtownie bijące serce Theo się uspokoiło. – Ale nadal mogę tu mieszkać?

Gus popatrzył na nią jak na idiotkę.

– Spotkaj się ze mną o szóstej w biurze... pójdziemy na drinka. – Wziął aktówkę i okulary słoneczne. – Bar! – dorzucił nagle. – Zawsze uważałem, że bar to wspaniałe miejsce do napisania powieści. Powinnaś obejrzeć kilka.

Tak więc Theo wybrała się na poszukiwanie gabinetu i znalazła Benders.

Rozdział 2

Caleb chodził tam i z powrotem po pokoju. To było nie do zniesienia – wiedzieć, co się dzieje, i nie być w stanie bezpośrednio pomóc.

Gdyby tylko mógł się dowiedzieć, kim jest Prymus – być może byłoby coś, co mógłby zrobić... obserwować jakichś ludzi... albo zebrać o nich informacje. Potrafił zhakować większość rzeczy i nie obawiał się ujawnienia publicznie swojego zdania. Ale oczywiście tożsamość Prymusa musiała pozostać tajemnicą. Caleb nie wątpił, że ci chorzy psychole stojący za Projektem Frankenstein zabiliby tego, kto oznajmiłby światu, co knują, gdyby się dowiedzieli, kim on jest. Chryste, to było szalone.

Caleb usiadł znowu przed ekranem komputera i przeczytał uwagi dotyczące wpisu: wyrazy wsparcia i oburzenia, potwierdzenia na kontach, powiązane raporty – narastający ruch, który pewnego dnia ocali świat przed deprawacją i złem, nazywanymi przez Prymusa Minotaurom. Oni się przygotowywali.

Caleb sporządzał zbiorczą listę wszystkich korporacji, o których Prymus od czasu do czasu wspominał. Każda para

wpisów oznaczała organizację dotąd niewymienioną z nazwy, którą dodawał do listy. BojownikKot15 stworzył bazę danych zawierającą nazwiska zaginionych osób, zwłaszcza dzieci, i załączał, jako odnośniki, ostatnie obrazy własności korporacji w tej okolicy. KsiężycowyŻołnierz1 zajmował się wynajdywaniem powiązań pomiędzy Projektem Frankenstein a konkretnymi elitami politycznymi, dzierżącymi władzę mężczyznami i kobietami stojącymi za Minotaurem. Byli też inni przeglądający wszystkie zdekodowane wpisy, szukający ukrytych wiadomości. Wszyscy oni współpracowali ze sobą, dzielili się tym, co odkryli, i strzegli się nawzajem, po prostu na wszelki wypadek. Caleb przypuszczał, że Minotaur będzie szukał każdego, kto pomaga Prymusowi.

LABIRYNT 32

Trwają eksperymenty dokonywane na zmarłych. Projekt Frankenstein przyniósł rezultaty, a ci stojący za nim zyskali w nagrodę złoto i władzę. Dotychczas profanowano w tym celu jedynie nieżyjących, ale wczoraj zaproponowano, że użycie żywych obiektów mogłoby się przyczynić do dalszej poprawy rezultatów. Uważajcie na siebie i na dzieci. Kongresmeni są współwinni. Ludzie zaczną znikać. Porywacze przechodzą szkolenie wojskowe w tajnych bazach, gdzieś na pustyni. Być może ja też zostanę porwany, pokrojony i ponownie złożony. Ale boję się nie tylko ze względu na siebie. Jestem jedyną osobą zdolną poruszać się w tym labiryncie, skłonną złamać tajne protokoły, które chronią tę korporacyjną nieprawość. Ludzie mają prawo wiedzieć. Ofiary mają prawo walczyć. Miejcie baczenie na logo Disneya, Coca-Coli, CNN. To przyjaciele Minotaura. Przygotujcie się.

*Wkrótce wzniciemy powstanie, aby dokonać oblężenia
Labiryntu. Więcej wiadomości później.*

Wiemy, co wiemy.

Prymus

Bar Benders w śródmieściu Lawrence ożywał zwykle około piątej po południu, kiedy zjawiali się nałogowi pijacy. Do tego czasu panował w nim spokój, niezakłócany przez obecność osób, które przesiadywały tam o wiele dłużej, niż uprawniała ich do tego filiżanka świeżo palonej kawy. Fakt, że Benders otwierano nawet przed jedenastą rano, był sam w sobie niezwykle i stanowił rezultat sporu między właścicielkami, siostrami Bradley, z których jedna nazywała go restauracją, druga zaś upierała się, że to bar. Ostatecznie godziny otwarcia i charakter lokalu podzielono, chociaż przez lata granica pomiędzy restauracją a barem się zatarła. W każdym razie przedłużony czas funkcjonowania czynił to miejsce idealnym dla tych potrzebujących nieformalnego gabinetu, którego nie będą musieli opuścić już późnym popołudniem. W roli schronienia dla pisarzy lokal był powszechnie akceptowany, czy wręcz uważany za doskonały.

Początkowo Theo przypuszczała, że restauracji i barowi nadano nazwę Benders* po prostu dla upamiętnienia jakichś alkoholowych ekscesów, jednak tabliczka wewnątrz, tuż za drzwiami, ujawniała znacznie bardziej ponurą inspirację. Okazało się, że Krwawi Benderowie byli rodziną seryjnych zabójców z końca dziewiętnastego wieku, mordującą podróżnych, którzy przybywali do ich oberży, aby spożyć posiłek bądź się napić. Wybór tej nazwy dla restauracji-baru sprawiał

* Z ang. „popijawa” (przyp. tłum.).

osobliwe pasywno-agresywne wrażenie, ale świadczył o przewrotnym poczuciu humoru, które przywiodło Theo na myśl jej rodzinny dom. A chociaż sama wybrała tę drogę, napływające wspomnienia o domu nie zawsze były niemiłe widziane.

Wystrój nawiązywał jawnie i bezwstydnie do podejrzanej złej sławy osobników, od których nazwiska lokal wzięł nazwę. Przyćmione oświetlenie, makabryczne pamiątki i wiktoriańskie ozdoby przywoływały w niezbyt subtelny sposób charakterystyczną dla tematycznych parków rozrywki atmosferę mrocznego spisku. Wnęki i boksy zapewniały prywatność, nawet dyskrecję. Tego obrazu kryjówek mordercy dopełniał młot unurzany w czerwonej farbie, podobnie ozdobiona brzytwa i kolekcja starych buteleczek po arszeniku.

W ciągu tygodnia Theo zdobyła sobie niemal niezbywalne prawo do boksu w kącie sali. Zjawiała się codziennie o dziewiątej rano, zamawiała kawę, po czym wyjmowała laptop, swoje notatki oraz zaczytany egzemplarz powieści Jacka Chase'a *Szybujący w powietrzu*, który pełnił dla niej funkcję czegoś w rodzaju muzy przynoszącej natchnienie. Książka została podpisana przez autora: „Dla Theo. Niech słowa przychodzą do ciebie szybko i we właściwym porządku. Z wyrazami pisarskiej solidarności, Jack”.

Theo w gruncie rzeczy nigdy nie spotkała Jacka Chase'a, chociaż jako nastolatka przeczytała wszystko, co kiedykolwiek napisał, i obejrzała wszystkie filmowe ekranizacje jego powieści. Przed laty Gus trafił przypadkiem w Nowym Jorku na imprezę, w trakcie której podpisywano jakąś książkę; było to dzień czy dwa po urodzinach Theo, o których do tego momentu zapomniał. Odczekał w kolejce i poprosił autora o podpisanie egzemplarza dla jego młodszej siostry, która niedawno skończyła czternaście lat. Było nieco zagadkowe,

dlaczego Chase wpisał właśnie taką dedykację... Gus lubił utrzymywać, że opisał swoją siostrę jako „mającą twarz przyszłej zdobywczyni nagród”, a pisarz mylnie zrozumiał, że chodzi o nagrody literackie. Theo była jednak niemal pewna, że brat zmyślił tę historyjkę. Jako czternastolatce wpis wydał jej się zabawny, ale teraz uważała go za proroczy. Może po prostu dlatego, że odczytała te słowa już tyle razy i zaczęła wierzyć w ich prawdziwość. Jakikolwiek był powód, ta książka stała się jej talizmanem.

Wkrótce Theo poznała Laurę, poprzekłuwaną licznymi kolczykami kelnerkę, która zawsze prosiła ją o wypowiedanie przypadkowo dobranych słów, tak aby mogła usłyszeć je wymawiane z australijskim akcentem. Inna kelnerka, Chic, lubiła słuchać podcastu z prawdziwymi historiami kryminalnymi w przerwach między podawaniem klientom kawy, a czasami nawet w trakcie jej roznoszenia. Paru stałych bywalców baru zwykle zjawiało się wcześniej, by uniknąć tłumu studentów uniwersytetu. Byli też inni, którzy siadywali raczej przy stolikach niż przy barze.

Jeden mężczyzna zajmował stolik przy oknie przez większość dni, kiedy Theo przychodziła pisać. Oczywiście nie wiedziała, że to Dan Murdoch, nie od razu. Był dla niej po prostu jeszcze jednym uciekinierem chroniącym się w restauracji i szukającym pociechy w kofeinie i anonimowości. Początkowo nie zwracali na siebie nawzajem zbyt wielkiej uwagi. Po tygodniu czy dwóch podniósł na nią wzrok, a może się uśmiechnął, dając tym poznać, że zdaje sobie sprawę, iż stale się widują. Był sporo starszy od niej, ale nie stary, miał krótko przyciętą brodę okalającą twarz o wyrazistych rysach. Włosy przy skroniach zaczynała mu przyprószać siwizna. Zazwyczaj nosił dżinsy, koszulę rozpiętą pod szyją i skórzaną

marynarkę, a także okulary – nowoczesne, ale o tradycyjnym wyglądzie. Mimo to, na ile Theo wiedziała, mógłby być seryjnym mordercą. Odwzajemniła przelotnie jego uśmiech i wycofała się w swój kąt sali, żeby pisać. Po pewnym czasie wytworzyła się między nimi milcząca zażyłość. Skinienia głowami zaczęły oznaczać powitanie.

Czasami dołączała do niego kobieta w żakiecie – doskonale uszytym, dyskretnie kosztownym. Była tak olśniewająco piękna, że zdawała się nie przynależeć do realnego świata. Theo starała się jej nie przyglądać, przynajmniej nie jawnie. A jednak dostrzegła, że w towarzystwie tej kobiety mężczyzna sprawia wrażenie skarconego i skruszonego, a niekiedy poirytowanego. Być może był jej wiarołomnym kochankiem albo ona była jego kuratorką sądową. Ale zjawiała się rzadko. Najczęściej mężczyzna siedział samotnie, pijąc kawę, ze spojrzeniem wlepionym w komórkę albo tablet. Od czasu do czasu Theo przyłapywała go na spoglądaniu w jej stronę, jednak nigdy nie wytrzymał jej spojrzenia na tyle długo, by stanowić o zaproszenie do czegoś więcej niż przelotnego uśmiechu.

Pierwszą rozmowę odbyli dopiero, gdy pewnego dnia Theo upuściła *Szybującego w powietrzu*, wchodząc do Benders i dźwigając laptop i notatki. Mężczyzna podniósł książkę i zaniósł do jej stolika. Zerknął na okładkę i zdawało się, że na jego twarzy pojawił się wyraz rozbawienia. Theo poczuła niejasną chęć wytłumaczenia się. Ale on nie zapytał o książkę.

– Nad czym pracujesz?

– Nad powieścią – wyjąkała zakłopotana i wzdrygnęła się na dźwięk własnych słów.

Co sobie myślała, nazywając to, co robi, pisaniem powieści? On z pewnością się roześmieje.

Nie roześmiał się.

– Dan, chcesz, żebym podała ci kawę tutaj czy jak zwykle przy twoim stoliku? – spytała kelnerka Chic, unosząc tacę z jedną filiżanką.

Popatrzył na Theo.

– Proszę – rzekła nieco niepewnie.

Przypuszczalnie nie był seryjnym zabójcą.

– Tutaj – odpowiedział kelnerce. – I jak zwykle dla...

– Theo. Theo Benton.

Wtedy się przedstawił i Theo zdała sobie sprawę, że rozmawia z Danem Murdochem – powieściopisarzem, którego nazwisko zyskało uznanie na tyle, by pojawiać się na okładkach jego książek wydrukowane większą czcionką niż tytuły. Teraz Theo naprawdę się zawstydziła. Przed chwilą powiedziała Danowi Murdochowi, że pisze powieść. Poczula, że się zaczerwieniła.

– Nie jestem prawdziwą pisarką – rzekła szybko.

Uśmiechnął się.

– Muszę wyznać, że już od dawna nie zamówiłem kawy dla wytworu mojej wyobraźni.

– Nie... mam na myśli... miałam...

Zaśmiał się.

– Wiem. Myślę, że ja też już nie jestem prawdziwym pisarzem.

– Ale ty przecież...

– Zostanie pisarzem to jedno, a bycie nim nadal to całkiem inna historia.

– Och...

Theo nie była pewna, czy zrozumiała, ale Dan nie wydawał się skłonny do wyjaśnienia.

Zamiast tego wybawił ją z zakłopotania, pytając o jej pracę. Wypytywał ją szczegółowo o gatunek i temat powieści,

o to, jak długo nad nią pracuje. Onieśmienie dziewczyny stopniowo się rozwinęło, gdy mówiła o pisany przez siebie historycznym kryminale, którego akcja rozgrywa się w latach dwudziestych ubiegłego wieku w Canberze, mieście, które wówczas dopiero budowano. Powiedziała Danowi, że kiedyś studiowała prawo w tej leżącej w buszu stolicy Australii i odkryła, że to miasto ma osobliwą duszę – starodawne ziemie ludu Ngunnawal zagrzebane pod współczesną fasadą starannie rozplanowanej metropolii – i że odtąd ta myśl nie daje jej spokoju.

Wyglądało, że Dan jest tym zaintrygowany – naprawdę zaciekawiony, a nie jedynie powodowany uprzejmością zabarwioną pobłażliwym rozbawieniem – i Theo odnalazła nową przyjemność w rozmawianiu o tych ideach, które zaprzętały jej myśli. Wcześniej opowiadała o swojej pracy tylko Gusowi, a nawet wtedy powściągała się świadoma, że zanudza go wyobrażeniami, które obecnie ją pochłaniały. Ale Dan pozwolił jej rozwodzić się obszernie; w istocie wydobył z niej głębię obsesyjnego zafascynowania opowieścią, którą układała ze skrawków historii i swobodnych wytworów własnego umysłu. I gdy tak rozmawiali, niepostrzeżenie minął ranek.

Kiedy wychodzili na zewnątrz, by kupić kanapki na lunch, zapytał ją o *Szybującego w powietrzu*.

– Nakręcono film na podstawie tej powieści, prawda?

– Przeczytałam ją, gdy miałam czternaście lat – odparła Theo nieco zaniepokojona, że Dan uzna jej literacki gust za niedojrzały.

Wzdrygnął się.

– Niestety, kiedy ja ją przeczytałam, byłem o wiele starszy. Co o tym pomyślałaś?

Theo się zawahała, trochę zaskoczona, że ta książka go interesuje; zastanawiała się, czy Dan pyta o dzieło, czy autora. Karierę Jacka Chase'a zrujnował skandal – oskarżenia o występki seksualny uczyniły z niego pariasa porzuconego przez agentów literackich i wydawców, a jego powieści niemal całkowicie usunięto z księgarń. Theo nie wiedziała, co takiego właściwie zrobił Chase – nie potrafiła sobie nawet przypomnieć, czy popełnił przestępstwo, czy po prostu dopuścił się jakiegoś czynu budzącego odrazę – i nie była pewna, czy powinna zmienić swoją opinię o książce, którą pokochała jako czternastolatka. Teraz otworzyła tom na stronie tytułowej, pokazała Danowi dedykację i opowiedziała mu, w jaki sposób książka do niej trafiła.

– Więc zatrzymałaś tę książkę przez wzgląd na brata? – zapytał, odczytawszy wpis.

– Niezupełnie. – Wzięła głęboki wdech i stawiała czoło tej kwestii. Nie była tchórzem. – Jack Chase był niezwykłym pisarzem. Jego książki są pełne niuansów, buduje w nich złożony, wielowarstwowy świat. Jego bohaterki zawsze napawają mnie poczuciem potęgi i siły... Mam wrażenie, że nikt nigdy nie zdołał mnie skrzywdzić, a kiedy miałam czternaście lat, to ogromnie wiele dla mnie znaczyło. Bez względu na to, co jeszcze zrobił, napisał piękne książki.

Dan nic nie powiedział.

– ...I tak, to był prezent od Gusa... a także chyba omen. Ta książka to mój talizman przynoszący mi szczęście.

– No cóż, mam nadzieję, że służy ci lepiej, niż posłużyła Chase'owi. To była jego ostatnia powieść.

Theo westchnęła urywanie.

– Znałeś go?

Zaśmiał się.

– Nie, bynajmniej. Moją pierwszą powieść opublikowano akurat, kiedy wybuchł ten skandal, więc utkwił mi w pamięci.

Opowiedział Theo o burzy sprzecznych emocji towarzyszącej pierwszej publikacji, o obawie, oczekiwaniu, nieopisaną euforii, gdy pierwszy raz widzi się swoją książkę na półce w księgarni albo czyta jej recenzję zamieszczoną w „New York Timesie”.

Tamtego wieczoru Theo wróciła do domu pełna entuzjazmu i nadziei. Nie miała jeszcze klucza do królestwa literatury, ale zaprzyjaźniła się z kimś, kto go posiada. To napełniło ją poczuciem, że jej marzenie może się okazać realne.

Później nie widziała Dana Murdocha przez kilka dni i było to dla niej twarde lądowanie w rzeczywistości. Zastanawiała się, czy może znalazł sobie inne miejsce, gdzie pije kawę i unika niedoszłej pisarki, która już wie, kim on jest. Zapewne obawiał się, że ona będzie zwracać mu głowę, poprosi go, żeby przeczytał jej manuskrypt. Przez niemal tydzień przychodziła do Benders i siedziała samotnie, w milczeniu, upokorzona osądem Dana na jej temat, w którym upatrywała powodu jego nieobecności. A potem wrócił, z laptopem i nowym błyskiem w oku. Podziękował Theo, że zainspirowała go, by znów pisał, wyrwała z twórczej niemocy.

– Przeżywałeś niemoc twórczą? – spytała Theo.

Pisanie wciąż było dla niej czymś nowym – tak silnie odczuwała w sobie pęd twórczy, że sama myśl o niezdolności znalezienia słów, niechęci do ich szukania wydawała jej się czymś niewyobrażalnym.

– No, może nie niemoc – odparł. – Ale znudzenie. Od pewnego czasu pisałem ten sam rodzaj książek i zdałem sobie sprawę, że rozpraszają mnie inne rzeczy... A ty przypomniałaś mi, jak to jest wkroczyć na dzikie, niezbadane obszary i je eksplorować.

– Dzikie obszary? – Roześmiała się. – Siedzimy w barze kawowym!

– Tak... – Zniżył głos. – Ale kawa nie jest tu zbyt smaczna.

Od tamtego dnia często rozmawiali, dyskutowali o fabułach i postaciach, o kawie i Kansas. Theo całkiem przestała rozmyślać o seryjnych zabójcach. W końcu ich rozmowy stały się tak regularne i długie, że łatwiej było pracować przy jednym stoliku. Para towarzyszy potrzebujących odizolowania się, by móc oddać się pracy.

Theo wstąpiła do księgarni Raven i kupiła wszystkie książki Dana Murdocha, jakie udało jej się znaleźć na półkach, a pozostałe zamówiła. Było ich w sumie sześć i zarywała kolejne noce, by przeczytać tyle, ile zdoła – co Gus uznał za zabawne.

– Powinnaś znaleźć sobie przyjaciół, którzy nie zadają ci pracy domowej, Theo.

– Zamknij się. Czytam.

– Serio... Znam pewnego faceta. Nie uważa notek o powieściach za ani trochę atrakcyjne... chociaż być może musiałaś byś zrobić coś ze swoimi włosami...

– Gus! Zostaw mnie w spokoju.

– W porządku, ale jeśli dostaniesz ocenę niedostateczną, daj mi znać, a zadzwonię do tego gościa.

Theo zignorowała brata. Lubiła powieści Dana Murdocha – były mroczne i ekscytujące, a od czasu do czasu znajdowała w nich zdanie bądź ustęp, w którym mogła zatonać. Miała wrażenie, jakby poznawała tego mężczyznę nie tyle poprzez spotkania z nim, ile poprzez jego dzieła. Coraz bardziej jednak lubiła towarzystwo Dana. W tamtym okresie zjawiała się w Benders wcześniej i zdała sobie sprawę, że wyczekuje go, a w te nieczęste dni, kiedy nie przychodził, tęskniła za nim.

Od czasu do czasu w barze zdarzał się nieoczekiwany napływ gości – studentów świętujących jakieś sportowe zwycięstwo reprezentacji uczelni albo urzędników odbywających imprezę biurową. W takie dni Dan i Theo porzucali swój stół i znajdowali sobie inne schronienie, gdzie byli przyjaźnie witani przez pisarzy rezydujących nieoficjalnie w tym lokalu. W knajpie o nazwie Burżuazyjna Świnia na Dziewiątej Ulicy Meg pisała swoje pamiętniki; Larry w barku kawowym Aimee's pracował nad swoją trzecią powieścią; a cała grupa pisarzy spotykała się regularnie kilka przecznic dalej, w barze Alchemia na Mass Street. Chociaż Theo wysoko ceniła sobie znajomość z tą siecią literackich uciekinierów, czuła się najszcześliwsza w Benders, gdzie byli tylko ona i Dan, a słowa zdawały się łatwiej napływać.

Wyglądało na to, że Dan bez problemu, nawet z entuzjazmem, wszedł w rolę mentora Theo. Hojnie dzielił się z nią swoim doświadczeniem, a w ciągu następnych miesięcy stopniowo stawał się wobec niej coraz bardziej szczerzy i otwarty. Opowiadał jej o różnych nieudanych projektach literackich i wyjaśniał własne metody twórcze. Niekiedy zabierał ją na coś, co nazywał „wycieczką edukacyjną”, aby pokazać jej jakiś budynek, pomnik czy nawet drzewo, co do których sądził, że ich poznanie mogłoby wnieść do powieści Theo wycucie lokalnego kolorytu. W ten sposób pokazał dziewczynie Lawrence, dodając własną, przechowaną w pamięci historię do szczegółów, na które zwracał jej uwagę. W najdłuższe dni lata ich spacerów przeciągały się do wielu godzin, gdy podążali szlakiem Burroughsa albo przechodzili przez most do Północnego Lawrence wzdłuż grobli w trakcie czegoś, co stało się swoistym wędrownym seminarium.

Kiedy Theo zmagала się z jakąś sceną rozgrywającą się za rzeką Murumbidgee, w dolinie Molonglo w pobliżu Canberry, Dan zabrał ją na brzegi rzeki Kaw.

– Moja opowieść dzieje się w Australii – przypomniała mu.
– Nie ma znaczenia, gdzie płynie rzeka. To szczegóły, takie jak sposób, w jaki światło odbija się od powierzchni wody, jej zapach, głosy wodnych ptaków, dają twojemu pisaniu miejsce. Wszystko jedno, czy to miejsce jest rzeczywiste, czy zostało wymyślone... Ostatecznie istnieje jedynie w wyobraźni czytelnika.

Pomimo licznych wielogodzinnych rozmów, podczas których Theo miała wrażenie, że odsłania przed pisarzem duszę i wyjawia mu swoje największe nadzieje i obawy dotyczące pisania, Dan Murdoch unikał mówienia o książce, nad którą obecnie pracował. Oczywiście przyglądała się, jak pisał na laptopie, jednak zdradzał jej tylko bardzo nieliczne i mgliste szczegóły. Nie wypytywała go, jakkolwiek miała nadzieję, że Dan w końcu jej się zwierzy, tak jak ona zwierzała się jemu. Od czasu do czasu czyniła do tego aluzje, lecz daremnie. Choć męczyzna zdawał się cały czas ogromnie zainteresowany tym, co i jak pisała, pozostawał niechętny wobec mówienia o własnej pracy. Z czasem Theo zaakceptowała, że on nie potrzebuje bądź nie chce informować jej o tym. Uświadomiła to sobie bez poczucia urazy czy krzywdy. Ostatecznie przecież Dan Murdoch był znanym autorem – prawdopodobnie nowa, dopiero początkująca pisarka niewiele mogła mu zaoferować istotnych spostrzeżeń.

Dlatego zaskoczyło ją, gdy Dan obrócił swój laptop i pokazał jej strony internetowe przetrzysane przez niego w poszukiwaniu pomysłów twórców teorii spiskowych, których śledził w celu zgromadzenia przydatnych informacji.

– Chyba nie mówisz serio – powiedziała, czytając, niepewna, czy ma się roześmiać, czy okazać przerażenie. – To absurdalne.

– Ale jednak to czytasz.

– Frankenstein? I zombie? Ci, którzy o tym piszą, muszą być szaleni.

– Być może, ale to mniej absurdalne niż opowieści o ludziach-jaszczurach. – Roześmiał się łagodnie. – Nie uwierzyłybyś, jak wiele osób wierzy, że Clintonowie, Bushowie, nawet królowa Elżbieta to zmieniające kształty jaszczury. – Popukał w ekran. – Ludkowie, którzy prezentują te kwestie, wiedzą, jak napisać zajmującą historię. – Uśmiechnął się, przewijając tekst w dół, by przeczytać więcej. – Tworzą światy, które mają oparcie w rzeczywistości na tyle, by wydać się wiarygodne... No dobrze, może nie wiarygodne, ale wewnętrznie spójne. To jak jedna z tych pisanych przez internautów przygodowych opowieści.

– A ty czerpiesz z tego pomysły? – spytała sceptycznie Theo.

– Pomysły... inspirację... motywację... nawet postacie... – Wskazał jej komentarze i fora dyskusyjne. – Można zbadać sukces danej narracji spiskowej na podstawie zamieszczonych tutaj reakcji. To jak grupa fokusowa.

– Ale nie możesz tak po prostu przejąć czyjejś teorii... To plagiat.

Dan się roześmiał.

– Ci tutaj wierzą, że rząd kradnie martwe ciała, aby stworzyć z nich nowych ludzi... Nie jestem pewien, czy dla tych paranoików kwestia własności intelektualnej stanowi najważniejszy przedmiot troski.

Theo zerknęła na wpis zawierający błaganie, by zastrzelić porywaczy ciała.

– Nie wiem, czy istotne jest czynienie jakichkolwiek założeń dotyczących tego, co ci ludzie mogliby pomyśleć.

– Ja w gruncie rzeczy nie przejmuję ich rozmaitych teorii – zapewnił ją Dan. – Wykorzystuję je tylko, aby zrozumieć, co czyni daną narrację skuteczną. – Wskazał na parę postów, które wzbudziły jedynie drwiny albo zostały zignorowane. – Spójrz... niektóre nie zyskują powodzenia. Ciekawi mnie, co takiego jest w tych teoriach, które odnoszą sukces, co sprawia, że ludzie zaczynają w nie wierzyć, przejmować się nimi. Wydaje się, że nie ma to żadnego związku z logiką ani wiarygodnością.

Theo skinęła głową, nadal czytając. Było to dziwaczne, ale Dan miał rację.

– Co oznacza WCW? – zapytała.

Ten akronim pojawiał się na końcu kilku postów.

Dan uśmiechnął się szeroko.

– „Wiemy, co wiemy”.

– *Z Hamilton?*

Przytaknął.

– On łączy tych, którzy podążają za Prymusem i zgadzają się z jego teorią o Minotaurze. – Przewinął kilka tematów omawiających wątki każdego z nich z niemal naukową precyzją. – Wszystkie one zawierają element swojskości... coś, co pozwala ludziom powiedzieć: „Tak, widziałem to”, i element nowości albo zaskakujący zwrot, a także antagonistę bądź system zainteresowanych w utrzymaniu wyjaśnienia w sekrecie, który trzeba złamać. Co ci to przypomina?

– Powieść – przyznała Theo.

– Posłuchaj, niech to zostanie między nami. Nie chcę, żeby ludzie się o tym dowiedzieli. – Wyszczrzył się. – Uznaj to za tajemnicę zawodową.

– Oczywiście. Zabiorę ją ze sobą do grobu... Możemy tylko mieć nadzieję, że moich zwłok nie odgrzebie jakiś Minotaur.

Z nadejściem jesieni Theo zaczęła być pewniejsza swoich zdolności pisarskich, a jej rozmowy z Danem stały się bardziej treściwe i przebiegały na równiejszej stopie, raczej jak między kolegami niż między nauczycielem a uczennicą. Kiedy Dan zwracał kolejne części jej manuskryptu opatrzone jego sugestiami i poprawkami, była mu zawsze głęboko wdzięczna, lecz obecnie bardziej skłonna bronić swoich pomysłów i wyborów.

– Nie chcę dokładnie go opisywać – powiedziała, gdy Dan poradził jej, aby zaopatrzyła swojego bohatera w więcej cech fizycznych. – Nie ma znaczenia, jak on wygląda.

– Oczywiście, że to ma znaczenie – zaoponował Dan. – Ludzie reagują na naszą powierzchowność. Wygląd bohatera powieści wiele nam mówi o postaciach wchodzących z nim w relacje. O tym, czy odnoszą się do niego z odrazą, bo jest szkaradny, czy z pożądaniem, ponieważ jest przystojny. Czy są płytcy, dyskryminują innych ze względu na wiek albo nawet są rasistami.

– Ale to wszystko kwestia perspektywy – odparła Theo. – To, czy coś budzi w nas obrzydzenie, czy nas pociąga, wynika często z naszych doświadczeń i uprzedzeń. Niedookreślenie wyglądu bohatera powieści pozwala na odzwierciedlenie tych kwestii, umożliwia czytelnikom utożsamienie się z jej postaciami i być może rozpoznanie własnych uprzedzeń.

Dan westchnął, jak robił często, kiedy uważał, że dziewczyna niepotrzebnie wchodzi na poziom tego, co nazywał „wysoką sztuką”.

– Theo, czytelnicy nie mają ochoty na rozważania. Chcą wiedzieć, czy bohater powieści ma duży nos, czy nie, czy uśmiechając się, odsłania dolne zęby i być może jest jaszczurem.

Theo prychnęła.

– Nadal czytasz te brednie?

– Muszę zbierać materiały, skarbie. Właśnie to czyni ze mnie profesjonalistę!

– No cóż, skoro rozmiar nosa czy zgryz mojego bohatera ma wpływ na opowieść, poinformuję czytelników o tych cechach! – oznajmiła Theo i zamknęła ekran swojego laptopa, żeby móc zobaczyć twarz Dana.

Roześmiał się.

– Powiedz mi, Theodosio, co młoda kobieta, taka jak ty, uważa w dzisiejszych czasach za atrakcyjne u mężczyzny? Mięśnie brzucha, tak? Obecnie każda kobieta pragnie faceta z rozbudowanymi mięśniami brzucha.

Theo przyjrzała mu się i zauważyła żartobliwy błysk w jego oczach. Wiedziała, że cokolwiek teraz odpowie, Dan później to wykpi. Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, czy jest jakiś jeden konkretny element. Ludzie są czymś więcej niż tylko sumą swoich cech fizycznych. A mnie nieszczególnie rajcuje mięśnie brzucha.

Dan pokręcił głową.

– Szlachetnie powiedziane, ale nie wierzę w ani jedno słowo. – Poklepał się po brzuchu. – Zanim zapytasz: robię dwieście brzuszków dziennie.

W którymś momencie, po kilku miesiącach ich spotkań, jej relacja z Danem stała się czymś nieco więcej niż przyjaźnią. Theo była pewna, że nie chodziło o nic tak ekstremalnego czy absurdalnego jak miłość. Raczej o przelotne uczucie, którego nie umiała opisać – podziw, narastająca czułość – jednostronne i kłopotliwe. Ono minie, zniknie, a ich oboje połączy jedna z tych legendarnych pisarskich przyjaźni, podobnie jak Lawrence’a i Mansfield czy Tolkiena i Lewisa. A jednak

gdy Dan uśmiechał się do niej, odczuwała dziwne pragnienie. Przypuszczała, że trochę jej współczuje, być może ogarnia go nostalgia za okresem, kiedy był początkującym pisarzem, jeszcze nieobciążonym brzemieniem sławy. Była pewna, że chodziło o to. Musiało chodzić o to. Tak więc zaskoczyło ją, kiedy wszystko się zmieniło.

Sięgnij po więcej!



www.mova.com.pl



facebook.com/wydawnictwo.mova



instagram.com/wydawnictwomova